



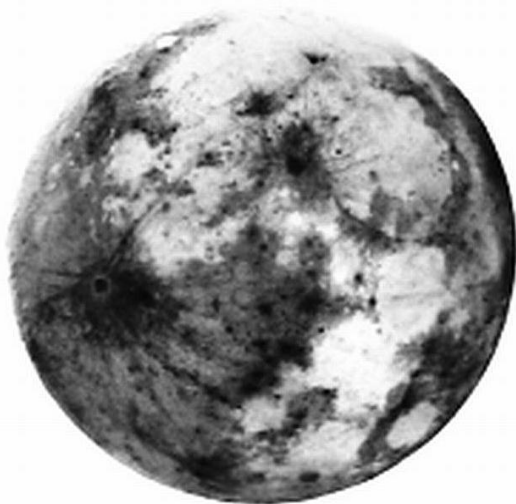
ERA WODNIKA

Aleksander Sowa

era

wodnika

Aleksander Sowa



© Copyright by Aleksander Sowa 2010

Okladka: Małgorzata Orlik

Zdjęcie na okładce: Aleksander Sowa

Redakcja i korekta: Łukasz Mackiewicz –

eKorekta24.pl

ISBN: 978-83-272-4153-5

--

Aleksander Sowa | Self-Publishing

www.wydawca.net

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Opole, grudzień 2013 r.

1.

Koniec często przychodzi nieoczekiwanie. Dla bezdomnego otwierającego usta, by w pijackim amoku przywołać kompana, tak właśnie było. Ogień życia tylko migotał i nie było szans, że jasno zapłonie.

Zirytowany nieobecnością towarzysza postanowił go odnaleźć. Podniósł się z połamanej wersalki. Zamiast jednak kroku w przód opadł bezsilny na zdezelowany mebel. Tak zakończyła się ta ekspedycja. Chwilę potem jego ciało wygiął nagły spazm. Z gardła wydobył się jeszcze charkot niczym rezonans uwięzłych w krtani nieustannie latających pszczół. Potem głos z czeluści robaczywego ciała ucichł.

Tymczasem gdzieś dalej drugi człowiek w łachmanach, na pozór podobny ofierze konwulsji, wciąż nie wracał. Też spotkał go koniec. Według innego, bardziej przerażającego i makabrycznego scenariusza.

2.

Siedział w radiowozie w bezruchu. Był jednym z tych wielu mężczyzn, jakich co dzień spotykamy na ulicach. Był po prostu zwykłym szarym człowiekiem.

Tkwiał na przednim siedzeniu, beczynn timer patrzac przez szybę na plac Daszyńskiego. To doskonale miejsce, aby przyjść karmić gołębie albo wieczorem całować i pieścić się w ciemnościach jak gimnazjaliści – myślał w ciszy.

Plac nazywany był po wojnie placem Thälmanna. Albo – co zastanawiające, choć tylko dla obcych w mieście – placem Pedala. Ochrzczono go tak z powodu przesiadujących tam bezdomnych, pijaków i dziwek najpodlejszego sortu.

– Komisarzu Stompor, zgłoście się!

Trzask w radiotelefonie przerwał rozmyślenia Emila.

– Jestem!

– Za pięć minut będziemy. Jak to wygląda?

– To trzeba zobaczyć.

– Miejmy nadzieję, że warto było się zrywać z łóżka. Bez odbioru.

– Zrozumiałem! Bez odbioru.

Niemal równocześnie otworzył drzwi radiowozu. Wiedział, że zachował się jak pies. Pan wydał komendę „waruj” i wykonał ją bez namysłu. To było jego powołanie. Sens życia, przeznaczenie i fatum, czy tego chciał, czy nie. Los nie pozostawił wyboru. Czasem musiał aportować, by biegać bez łańcucha.

Był na tyle niepozorny z wyglądu, że mógłby z nożem w dłoni wejść do oddziału największego banku w centrum i zrabować okrągłą sumkę, a i tak nikt nie potrafiłby później podać jego rysopisu. On jednak, zamiast skutecznie i z finezją rabować banki, został gliną.

Dobrym gliną, nawet bardzo dobrym. I choć praca w pionie kryminalnym była jedną z najbardziej podłych i niewdzięcznych w fabryce, ją właśnie lubił najbardziej. Był bardzo skuteczny, a mimo to nie awan-

sował. Być może wpływ na to miało właśnie to, że nie rzucał się w oczy. Bardziej jednak prawdopodobne, że powodem był brak układów.

Niewielu Emila lubiło. Nie nawiązywał bliższych znajomości. Był odludkiem, typem samotnika, który nie miewa przyjaciół. Samotny, sfrustrowany i zgorzkniały, już nie najmłodszy czuł, że życie przeciekło mu między palcami.

Myśląc o tym, wyjął paczkę z dwudziestoma małymi wrogami. Przed zapaleniem camela powąchał go, przykładając równolegle do wąsa. Papieros miał piękny, dziewiczy zapach. Lubił go, bo był to zapach jedy-nych marzeń w gównianym, szarym życiu. Przywodził na myśl gorące i suche wnętrza knajp portowych, egzotycznie pachnących przygodą, orientalną urodą pięknych kobiet i nieprzebytymi przestrzeniami.

Zapalił i marzenia prysły niczym tytoniowy zapach z zapalonego cichego mordercy. Płomień zapalniczki oświecił na moment zmęczoną życiem twarz i Emil wydał się kilka lat starszy.

– Muszę rzucić, mam dość – mruknął niby do siebie, a niby do tych, co razem z nim dzielili podłą pogodę.

– Paskudny nałóg – odezwał się jeden z posterunkowych.

Emil jednak nie odpowiedział, nie spojrzał nawet. Zaciągnął się tylko i omiółł bystrym wzrokiem plac. Równy prostokąt, na sto kilkadziesiąt metrów długości i szerokość około pięćdziesięciu, z krótszej strony

oszepecony był postsocjalistycznym, siermiężnym miejskim szaletem. Nie spełniwszy swej pierwotnej funkcji, stał się meliną bezdomnych. Niby wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt nic nie robił. Bo i po co? Aż do dziś. Wstępnie Emil wszystko zabezpieczył, a wejście do szaletu ogrodził taśmami. W nieprzemakalnym płaszczu czekał na szefa razem z drugim posterunkowym.

– Informacja udziela się tylko w razie konieczności – odburknął zagajony.

Tylko jeden z tych mężczyzn wiedział, co w trawie piszczy. Stał w milczeniu pouczony przez Emila bez ceregieli:

– Spróbuj coś komuś powiedzieć, to będziesz do usraniej emerytury glancował krawężniki. Jasne?

– Jak słońce, panie komisarzu.

– Jak słońce – powtórzył i dodał: – Cieszę się, że mnie rozumiesz.

Papieros dopalał się, kiedy względną ciszę przerwał dźwięk silnika czarnej lancii z kogutem przyczepionym na magnes do dachu. Z wnętrza wysiadło dwóch cywili. Posterunkowi natychmiast się wyprostowali.

– Przykro mi, że mamy taką porę.

– Nie wkurwiał mnie bardziej! – Usłyszał. – I niech cię Pan ma w opiece, jeśli nie będzie to sprawa warta tej pory – odezwał się szef Emila, Boss.

Drugi z cywili, Lipski, był prokuratorem. Obaj, oprócz tego, że byli spowici pajęczyną powiązań służbowych, tworzyli rdzeń kliki towarzyskiej, znali się bowiem prywatnie.

– Mów. – Usłyszał od Bossa.
– Mamy dwa trupy.
– Uhm. – Lipski pokiwał głową z zainteresowaniem i udawaną troską w spojrzeniu. – Mów dalej.
– To bezdomni, zbierają się tu czasem. Niezbyt często, bo w sumie nie ma po co, skoro dworzec mają bliżej. Tam jest cieplej i zawsze mogą coś wyżebrać – wyliczał.
– Gównu mnie to obchodzi! Mów, co z nimi!
– Właśnie – Lipski zawtórował Bossowi jak echo.
– Więc bez sensu, żeby tutaj mieli ciągle przychodzić – Emil kontynuował niezrażony ich odzywkami.
– Jasne, jasne – mruknęli obaj, po czym Boss rzeczowo dał głos:
– Zapili się na śmierć?
– Rzeczywiście, pili... – mruknął Emil.
– Ja pierdołę! Ale gówno! Mówcie, bo nie wiem, o co chodzi! Po cholere wzywacie mnie w środku nocy – histeryzował prokurator – do jakichś zasrańców, co zachlewają się na śmierć!? Nie można tego, kurwa, było załatwić w jakiś bardziej cywilizowany sposób? Nie mogliście na przykład znaleźć ich o siódmej zamiast o trzeciej w nocy?!

Jeśli Emil mógłby, powiedziałby, że nie robią na nim wrażenia przerywniki, których Eryk Lipski używa, oraz że ma bardzo, bardzo głęboko gdzieś jego krzyki. Był prokuratorem i jest jak dupa od srania, aby tu, w takiej chwili, przyjechać. Nabral powietrza w płuca i na głębokim wydechu wyluszczał, co wie:

– Po pierwsze, zauważyliśmy, że w ścianie jest wybite przejście do schronu.

– Do jakiego schronu? – Lipski niecierpliwil się znowu, po czym dodał zdziwiony do komendanta: – O czym on mówi?

– To nie wiesz?

– Nie wiesz, nie wiesz? – przedrzeźniał Bossa. – Co nie wiem, do chuja?! No nie wiem, nie wiem – wrzeszczał rozwścieczony. – Nic, kurwa, o żadnym głównianym schronie nie wiem! Jest czwarta nad ranem! Jak bym wiedział, pewnie bym się głupkowato nie pytał, nie?

Emil patrzył z politowaniem. Czuł obrzydzenie do tego dupka. Chwilę później odezwał się:

– Nawet nie wie pan, ile w tym jest racji.

– Co?

– Pod placem jest schron.

– Nigdy bym nie przypuszczał – Lipski szepnął zdziwiony.

– Bo młody jesteś jeszcze – wtrącił się komendant.

Emil dodałby jeszcze „i głupi”, gdyby mógł. Komendant tymczasem nie przerywał wywodu.

– I nie pamiętasz czasów zaraz po wojnie – zauważył rzeczowo.

– Jest ponemiecki – Emil ciągnął dalej. – Zbudowany, kiedy tu – skinieniem głowy wskazał plac – był faszystowski *Friedrichsplatz*.

– Przeciwlotniczy?

– I przeciwigazowy.

– Ech, ci faszyści tak samo dokładni jak teraz. Precyzyjni i na wszystko przygotowani – konkludował prokurator.

– Chuja dokładni! – komendant wtrącił się w pół zdania. – Mój mercedes się ciągle pierdoli – rzucił zniesmaczony.

Lipski, ignorując uwagę, zwrócił się do Emila:

– Dlaczego nie został zburzony po wojnie?

– Pewnie w PRL-u mieli nadzieję, że się przyda.

– Pierdolę taką nadzieję. Dobra, dawaj dalej – mruknął zachęcająco.

– W bunkrze jest trup.

– Trup? – Zrobił zdziwioną minę. – Miały być przecież dwa.

– Są dwa.

– Nie rozumiem. O co tu, do chuja, chodzi? To jeden czy dwa? Mówiłeś, że dwa. – Lipski wypomniał Bossakowskiemu. – On mówi, że jeden. To ile?

– Drugi jest w szalecie – Emil dorzucił, rzucając okiem na zdewastowany szalet.

Otworzył usta, jakby chcąc coś dodać, ale zrezygnował. Zamiast odpowiedzi zaprosił obu gestem ręki do samochodu.

– Wejdziemy i dokończę.

– Świetna myśl! – ochoczo zgodził się Lipski, zapewne mając nadzieję, że dzięki temu szybciej będzie mógł załatwić sprawę. Komendant tylko potakująco kiwnął głową.

Durnie – myślał Emil – ale niech im będzie. Otworzył drzwi niebieskiego volkswagena. Wewnątrz leżały latarki i przeciwdeszczowe płaszcze z napisami na plecach „Policja”. Podał każdemu po jednym, a potem dołożył po latarce.

– Więc idziemy.

– Co jeszcze wiesz? – Lipski nie dawał za wygraną, zachęcając Emila.

– W sumie niewiele – odparł. – Byłem tam raz. Wszedłem na parę metrów. Wierzcie, to nie jest przyjemne. Zresztą co można powiedzieć po takiej wizycie? Trzeba będzie całej ekipy, techników, fotografa, sekcji, badań laboratoryjnych. Od wodociągów musimy wziąć dokładne plany tej nory.

– Po co?

– Zaraz pan zobaczy.

Wszyscy trzej, kierując się w stronę ogrodzonego taśmami wejścia do schronu, zatopili się na chwilę w myślach.

– Wdepnęliśmy w niezłe gówno – Emil przerwał milczenie. – Jeden z młodych był tam ze mną. On to odkrył, więc proponuję, żeby poszedł z nami.

– Dawaj! – ucieszył się Lipski. – Opierdolę go, czemu znalazł ich w środku nocy.

Ludzie przechodzący przez plac spiesznym krokiem do pracy albo wracający z nocnej zmiany zwalniali z zaciekawieniem. Powoli z przepicia budził się kolejny jesienny poniedziałek, wciąż mając jeszcze na powiekach ciepły sen.

3.

Pokój na trzecim piętrze wypełniała hipnotyczna cisza. Kobieta spała najlepszym, porannym snem. Śniła. Nagle dzwonek leżącego obok łóżka ericssona bezlitośnie zabrzączał.

– No jasne, a któż by inny! – mruknęła zaspana, naciskając guziczek z zieloną słuchawką. – Gosia, słucham.

– To ja. Przepraszam, że cię budzę, ale też już od pół godziny nie śpię.

– Naprawdę musiałeś mnie obudzić?

– Musiałem.

– Niech cię diabli! Która w ogóle jest godzina? – Zadając pytanie, spojrzała na zegar.

Jednym z sekretów jej głosu nie była nieokreślona częstotliwość czy pełnia emocji, jakie uważny słuchacz wychwytywał. Wszystko łączyło się w jednolitą, nierozzerwalną całość. I dzięki temu dostała tę pracę. A kobiecie bez koneksji, bez doświadczenia w zawodzie, po czterdziestce trudno zaczynać nowe życie zawodowe. Jej się udało. Mimo wieku szybko wspinała się po szczeblach kariery. Poświęcała się pracy bez reszty. Niebagatelne znaczenie miał fakt, że jej rozgłośnia była w powijakach. Wszyscy w O'Key zaczynali. Kilka osób i obskurnych pokoiaków – oto całe ich radio. Mimo to było jej pasją. Odkąd pewnego dnia posta-

nowiła rozpocząć karierę od nowa, radio stało się sensem jej życia.

– Jest dziesięć po czwartej – odpowiedział. – Słuchaj, musisz gdzieś jechać.

– Mniemam, że to coś naprawdę ważnego. Lepiej dla ciebie, aby tak było. W przeciwnym razie zapiszesz się do kroniki policyjnej jako ofiara.

– Wierz mi, zaraz nie wypijesz nawet kawy do końca – rzekł naczelny.

Zaskoczył ją. Ale tylko trochę, bo choć wciąż była zła, zdawała sobie sprawę, że musiał mieć naprawdę ważny powód, by ją obudzić. Pracowali ze sobą na tyle długo, że dobrze się już znali.

– Co stało się tak wielkiego, że trzeba budzić zwykłą dziennikarkę przed czwartą w poniedziałek?

– Chodzi o psy. Jest aż kilka radiowozów.

– Gdzie?

– Na placu Pedala. Tam gdzie jest szalet.

– Dlaczego się tam zjechali?

– Czegoś szukają.

– Myślę, że nie. W odróżnieniu od ciebie mają na to lepsze pory. Coś się tam musiało wydarzyć.

– No właśnie nie wiem. Ty się dowiesz.

– Tylko tyle?

– Mało?

– Tak.

– Pewnie będzie więcej.

– W porządku. Niech ci będzie. Ale powiedz, czy to naprawdę jest aż takie ważne? Psy na placu Pedala w nocy? Nie można było poczekać z tym do ósmej?

– To będzie grubsza draka.

– Więc nie powiedziałeś mi wszystkiego. Skąd wiesz?

– Bo dzwoniła do mnie jakaś kobieta. Też mnie obudziła. Mówiła, że szła z nocnej zmiany i widziała trzy radiowozy. Szalet jest podobno ogrodzony taśmą.

– Taśmą?

– Tak – odparł.

To już coś – pomyślała. Policja stosuje taśmę, kiedy dzieje się coś poważnego: napad z bronią, wypadek śmiertelny, samobójstwo albo morderstwo.

– To nie wszystko.

– No?

– Podobno widziała tam też czarną lanię.

– Uhm – mruknęła z zadowoleniem.

A zatem jest prokurator. To potwierdza wersję z trupami. To już coś. Szybko przeanalizowała sytuację i podjęła decyzję.

– Może upiecze ci się tym razem. Jadę. Zobaczę.

– Grzeczna dziewczynka. Dziękuję. Cześć!

– Grzeczne dziewczynki idą do nieba, a niegrzeczne są wyspane. Wolałabym się wyspać, niż być w niebie, wiesz?

W odpowiedzi usłyszała jednak tylko sygnał zakończonej rozmowy. Założyła błękitną, koronkową bieliznę, rajstopy i podreptała do kuchni. Wsypała ly-

żeczkę mocnej jak amfetamina kawy do ulubionego kubka. Myśli zaprzętała teraz obietnica materiału na poranny news. Chwilę potem przekręciła klucz w drzwiach.

Z samochodowych głośników popłynęły rytmy remiksu *4 O'Clock In The Morning*.

– Nomen omen – mruknęła i mocniej wcisnęła gaz.

Ten dzień miał wiele zmienić w życiu wielu ludzi. Także jej. Rozpoczynała się nowa era: Era Wodnika.

4.

Emil zrobił zdecydowany ruch dłonią, przywołując posterunkowego stojącego przed wejściem do szaletu.

– On nas poprowadzi – wskazał chłopaka w mundurze, po czym go przedstawił: – Maciej Wilk.

– W porządku. Lipski, witam! Ty to znalazłeś?

– Tak.

– Zatem, posterunkowy Wilk, macie u mnie przerażane.

Wszyscy się uśmiechnęli. Ostrożnie weszli do szaletu. Piłśniowe drzwi zwisały wyłamane. Pewnie wyważone kopniakiem – pomyślał Emil.

– Na pewno został odcisk buta – zauważył.

– Z pewnością – odrzekł Lipski, ukrywając zdziwienie. Sam nie wpadłby na to.

Zapalili latarki. Blask krzyżujących się światel obmacujących ściany oświetlił częściowo ciemne, zdewastowane wnętrza.

– Mów! – Lipski zachęcił posterunkowego.

– Zaczepił mnie żul na patrolu pod dworcem i powiedział, że w szalecie na placu Pedala leżą sztywni kumple i że ktoś ich załatwił.

– Załatwił?

– Tak powiedział. No to poszłem sprawdzić.

Lipski słuchał. Nawet nie bardzo poraził prokuratora błąd językowy młodego policjanta. Bardziej interesował się, o czym mówi, niż jak to robi.

– Rzeczywiście był tu ten z wersalki – wtrącił się Emil.

– Z jakiej wersalki?

– Tu jest wersalka. – Wskazał Lipskiemu latarką stary mebel.

– Aha.

Prokurator skupił się na słowach policjanta, nie dostrzegając otoczenia. Tymczasem martwy mężczyzna leżał na połamanym meblu. Wszyscy czterej skierowali światła latarek na zwłoki.

– To ten pierwszy – rzekł posterunkowy.

– A więc tutaj pili – Lipski zaczął oceniać sytuację.

Emil spojrzał na prokuratora. W jego głosie nie było nawet cienia podniecenia jak u posterunkowego. Lipski oglądał z pewnością więcej trupów, niż chłopak miał płatków śniadaniowych w miseczce.

– Trzeba zebrać odciski z butelek – zauważył komendant – a resztki wina, czy czegoś tam, dać do analizy w laboratorium.

– W środku jest jeszcze kilka – wtrącił posterunkowy.

– Tym bardziej. Dobra, mów, co dalej – komendant ponaglił młodego.

– Znalazłem tego tu – wskazał zwłoki – i...

– Wcześniej – przerwał zniecierpliwiony komendant – zanim go znalazłeś.

– Zgłosiłem to i weszłem do tej dziury.

– Sam?

– Tak.

– Źle zrobiłeś – stwierdził spokojnie. Lipski pokiwał głową z dezaprobatą.

– Chciałem od razu to sprawdzić. Drugi czekał na górze – posterunkowy przytomnie się bronił.

Emil nie komentował. Wiedział, że patrole są dwuosobowe. Znał mentalność krawężników, więc się nie zdziwił. „Co za kretyn” – Lipski określił młodego policjanta w myślach. Nie dość, że nie umie mówić po ludzku, to myśleć o swojej dupie także.

– Ten żul mówił – tymczasem chłopak dukał jak przy tablicy – że trup nie jest jeden i że to jego kumple. Zaciekawilem się.

– Zaciekawilem się – Emil powtórzył. – Co z tego?! Jak będziesz zgrywał bohatera, to zginiesz jako posterunkowy. Jak nie, to jako aspirant, a jak ci się poszczęści, może nawet jako komisarz albo inspektor – rzucił, łagodząc nieco nieprzyjemnie wrażenie.

– Bardzo śmieszne, komisarzu Stompor. Ale on ma rację – Boss rzekł do młodego. – Na cmentarzu w

Półwsi leży już nie jeden taki Sherlock Holmes jak ty. Zapamiętaj to.

– Spisaleś go? – mruknął Lipski.

– Kogo?

– Tego, co tu leży – ironizował. – No tego, co ci to zgłosił! A kogo?

– Aaa... Nie.

– To o czym ty myślałeś?

– Wie pan, panie prokuratorze – policjant natychmiast podjął obronę – to był Profesor.

Boss z Lipskim nie rozumieli.

– Jak się szlifuje krawężniki – ciągnął posterunkowy – to się zna tych żuli. Nie mają papierów, śmierdzą i nie ma sensu ich zatrzymywać. Tylko się zawszawić można. To Profesor powiedział o tym tutaj – wskazał trupa. – Nie spisałem go, bo i tak nie powiedziałby, jak się nazywa. Papierów nie ma i nie ma z czego spisać. Ale jak będzie trzeba, to go znajdę.

Komendant otworzył usta.

– Nie trzeba – Emil ubiegł przełożonego. – Sam to załatwię. Masz rację, posterunkowy, dobrze zrobileś.

Znając tożsamość ważnego świadka, był częściowo zadowolony. Boss nie miał pojęcia o tym, co młody mówił. Zaczynał karierę jako milicjant. Ojciec był wysoko postawionym esbekiem. Nigdy nie był krawężnikiem.

Lipski tymczasem przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu.

– I co dalej? – zapytał po chwili.

– No nic. Przyszłem i znalazłem trupa. Potem dałem znać naszym. Dalej to już pan inspektor się tym zajął...

– Niewiele więc nam to dało – mruknął komendant.

– No – przytaknął Lipski.

– To się jeszcze okaże – Emil zaoponował, wciąż lustrując otoczenie.

Wnętrze skrywało wykafelkowane ściany pokryte brudem. Pomieszczenie zbudowano w kształcie prostokąta. Przy jednym z boków zawieszane były zdewastowane i rozbite umywalki.

– Myślałem, że będzie tu mokro – zauważył ze zdziwieniem Lipski.

Nikt nic nie odpowiedział.

– Woda jest zakręcona od dziewięćdziesiątego pierwszego – Emil mruknął po chwili, nie przerywając oględzin.

– Skąd wiesz?

– Nie tylko pana obudziłem, panie prokuratorze.

– No tak. Mnie to pasuje, że nie leje się na łeb, a tylko kapie czasem za kołnierz.

Uśmiechnęli się, po czym przesunęli w głąb drugiego pomieszczenia, oddzielającego – jak domyślał się Emil – część męską od damskiej.

– Ja myślałem, że będzie śmierdziało.

– Przecież różami nie pachnie – Emil skomentował domysły szefa.

W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach podziemi, z wyraźnie wyczuwalną nutą stęchlizny. Nie

był to odór czy smród nie do wytrzymania, ale do przyjemnych zapachów nie należał.

– Szalet zbudowano – wyjaśniał Emil, posuwając się w głąb – w miejscu, gdzie znajdowały się generatory prądotwórcze. Było tu także główne wejście i filtry. Po wojnie skorzystano z bunkra przy budowie szaletu ze ściekiem wpuszczonym do środka. Na dnie jest klepisko.

– Chcesz powiedzieć, że tam właśnie idziemy? – zaniepokoił się komendant.

– Przecież mówiłem, że wdepnęliśmy w gówno. Z planów wynika, że schron ma dwa poziomy. Był bardzo dobrze wentylowany, miał nawet filtry chemiczne. Gdy go zbudowano, był nowoczesny.

To bardzo zdziwiło Lipskiego.

– Kiedy to było? – natychmiast wtrącił pytanie.

– Za Adolfa. Filtry i wentylacja zostały zamaskowane pomnikiem na górze, zielenią i ozdobnym murem wokół placu – Emil wyjaśniał cierpliwie. – Miał dostęp do wody i szczątkową kanalizację na dolnym poziomie, nowe uszczelki w drzwiach, sprawne silniki w filtrach, czyste ubikacje, zapasy wody i oznaczoną drogę ewakuacyjną. Nic, tylko się wprowadzać i mieszkać.

– Rzeczywiście, masz rację – odparł z niesmakiem prokurator. – Jak w Ritzu. No dobra, ale co w tym dziwnego, że żule weszli do starego bunkra czy tam schronu, a potem schlali się na śmierć? Przecież to

zwykli bezdomni, społeczne wyrzutki. À propos, gdzie jest ten drugi?

Sam jesteś wyrzutkiem – pomyślał Emil. Wiedział, że dla tego skurwiela liczyła się kasa i przez jej pryzmat oceniał człowieka. Masz kasę, jesteś człowiekiem; nie masz, nie zasługujesz na człowieczeństwo, oto twój kodeks moralny – myślał o Lipskim.

– Tam – posterunkowy wskazał przejście wyłamane w ścianie.

– Aby wykuć ten otwór, należało użyć narzędzi. Na pewno oskarda, kilofa, młota albo łomu – Lipski starał się dociec prawdy.

– Nie znam się na budowlance – Emil mruczał tymczasem – ale to nie musiało być trudne. Zaprawa rozsypuje się w palcach – rzekł, rozcierając grudki tynku w dłoni.

Ruszyli dalej. Przeszli przez wylom, gęsiego.

– Z tego, co widziałem – kontynuował wypowiedź, mając w kieszeni kurtki ukryty magnetofon, co uszło uwadze pozostałych – obok wersalki bezdomni palili znicze, zapewne ukradzione z cmentarza. Przy pierwszym ciebie były też butelki i ślady obecności drugiego albo pozostałych członków libacji. Czapka, rękawiczka i dwie puszki piwa.

– Musieli wykuć przejście w miejscu, gdzie było kiedyś zamurowane – wtrącił posterunkowy.

– Chyba tak, ale to raczej nie oni.

– Czemu tak myślisz? – zdziwił się Lipski.

– A niby po co mieliby to robić?

– Cholera ich wie! – bronił się prokurator. – Skąd możesz wiedzieć, co im po pijaku przyszło do łbów?

– Chwila – Emil przystopował prokuratora. – Zaraz zobaczymy.

Weszli do korytarza o niskim stropie. Nie było to miejsce, w którym bywa się codziennie. Raczej takie, do którego można by trafić, gdyby przenieść się w czasie o pół wieku wstecz. Z półkolistego sufitu zwisały resztki instalacji oświetleniowej.

– Emil – zaniepokoił się prokurator – dzwoniłeś też może do elektrowni?

– Nie ma prądu. Bunkier miał własny generator. Szalet zasilany był z zewnętrznej linii, którą odcięto.

– Uff.

Przejście obniżyło się do półpiętra i schodów prowadzących jeszcze niżej. Potem do korytarza ciągnącego się aż po granice rozświetlanego latarką mroku. Do ich płuc docierało wilgotne i chłodne powietrze. Było przesiąknięte zapachem zgnilizny, zatęchłych liści i przejmującego chłodu. Tylko skąd zapach liści kilka metrów pod gruntem? – zastanawiał się Emil.

– Jest tam – przerwał milczenie posterunkowy.

Dziesięć metrów od nich leżały zwłoki. Właściwie tylko szkielet białych kości – pozostałości po człowieku okryte podziurawionymi lachmanami w nienaturalnie wykręconej pozie obok rozbitej butelki.

– Teraz uważajcie i módlcie się, żeby nas nie wychuły – szepnął posterunkowy.

– O co chodzi? – zapytał Lipski.

Boss zresztą pomyślał to samo, ale milczał przestraszony. Emil wiedział, ale zamiast odpowiedzieć, szepnął:

– Widzicie? Skrzynka, chyba drewniana.

– Uhm – przytaknął posterunkowy. – Ale nie wiem dokładnie. Stąd zawróciłem.

Podeszli do niej. Wewnątrz stały butelki 0,7 l.

– Wino – otworzywszy usta, ze zdziwienia skomentował widok posterunkowy.

– Nie wierzę! – Lipskiemu ten widok nie mieścił się w głowie.

– A jednak. – Posterunkowy kiwał potakująco głową.

Tymczasem Emil odwrócił się i skierował światło na szkielet. Obok ręki leżała butelka, wciąż cała.

– Ten sam jaból, co przy wersalce.

– No dobra – Bossakowski wreszcie się odezwał. – Ale sztywniak wygląda, jakby leżał tu już dobre parę lat.

Emil, zamiast odpowiedzieć, znów zaczął dedukować:

– Ktoś wybił przejście...

Nagle jego głos się załamał. Dostrzegł opasłe szczurze cielska. W mgnieniu oka odgadł tajemnicę szkieletu.

– Jasny chuj – jęknął. – Wiejemy!

I rzucił się w kierunku wyjścia, gdzie byli już pozostali. Po kilkunastu sekundach wybiegli zdyszani na powierzchnię. Lipski powstrzymywał odruch wy-

miotny. Emil i Boss oddychali ciężko jak po biegu na 110 metrów przez płotki. Kiedy się wreszcie uspokoili, Lipski zaczął:

– Nic tak nie ożywia dnia jak dobry trup.

Zarechotali śmiechem. Rozluźnieni odetchnęli po chwilach pełnych napięcia.

– Wywalili kawałek ściany w opuszczonym szalecie, aby dostać się do wnętrza, w którym jeden się zachłanił na śmierć – podsumował oględziny komendant. – Drugiego zżarły szczury, kiedy siedł po ukryte tam wina.

– Na to wygląda – odparł posterunkowy.

– No to otwieramy sprawę, panie Stompor – komendant zwrócił się żartobliwie do Emila. – Ale chcę, żebyś wiedział, że nie podoba mi się to miejsce. Jest niebezpieczne. Należy zamknąć tę sprawę jak najszybciej i nie kręcić się tutaj.

– Tak – dodał Lipski.

– A co jeśli będą jeszcze inni? – zawahał się posterunkowy.

– Zobaczymy – mruknął prokurator. – Prokuratura otwiera dochodzenie, a policja rozpoczyna czynności operacyjne, aby wyjaśnić wszelkie okoliczności. Prawda, panie komendancie?

Bossakowski nic nie odpowiedział, ciągle dysząc. Pokiwał głową. Wiedział, że Lipski ma rację.

– No... – nieśmiało zaczął posterunkowy. – No... ja i panowie dotarliśmy tylko do miejsca, gdzie leży ten

drugi sztywniak i ta skrzynka. Dalej żaden z nas nie doszedł.

– Posterunkowy ma rację – odezwał się dotąd milczący Emil. – Nie wiemy, co znajduje się dalej. Bunkier jest za duży i zbyt niebezpieczny, by go spenetrować ot tak, standardowo.

Słowa Emila oznaczały sprowadzenie specjalnej ekipy, papierki i mnóstwo roboty. Najbardziej nie pasowało to wszystko komendantowi. Miał swoje powody. Skomentował fakty jednym zdaniem:

– I tak trzeba zacząć dochodzenie.

– A schron zbadać – dorzucił Lipski.

Zamilkli, zastanawiając się nad tym, co zobaczyli. Każdy z nich widział niejedno ludzkie nieszczęście. Mimo to widok drugiego ciała, szkieletu właściwie, zrobił na nich niemałe wrażenie. Młody wciąż był blady.

Po chwili prokurator znów się odezwał:

– Widziałem niejedno. Niejednego trupa oglądałem. Ale czegoś takiego jeszcze nie. I wiecie co? – ciągnął Lipski. – Zastanawiam się, jak można być tak głupim, żeby skrzynkę wina, na dodatek pewnie jeszcze skądś podpierdoloną, schować do bunkra pełnego szczurów.

– A jeśli ktoś chciał ich zabić? – odezwał się Emil, wypuszczając dym z ust.

5.

Dwa dni później przed Wojewódzkim Centrum Medycznym w Opolu Emil w swoim polonezie czekał na prokuratora. Dupek się spóźniał, więc zdążył wypalić już dwa camele.

Rozejrzał się. Nie widząc niczego niepokojącego wzdłuż całej Alei Witosza, sięgnął do schowka i wyjął ćwierćlitrową piersiówkę z wódką. Pociągnął trzy spore łyki. Alkohol przyjemnie rozpływał się w żołądku. Wiadomości w radio rozpoczynał news dnia.

– Przedwczoraj coś dziwnego działo się w sercu Opola. – Usłyszał Emil. Podkreślił głośność. – Jak udało nam się dowiedzieć, po nocnej akcji funkcjonariuszy policji z Opola do bunkra na placu Daszyńskiego weszli żołnierze z Tarnowskich Gór. Zapytaliśmy rzecznika prasowego komendy po co.

Dziennikarka przedstawiła policjanta i Emil po chwili usłyszał:

– Czy to prawda, że żołnierze odszczurzali bunkier?

– To prawda.

– Czyżby opolska policja ściagała szczury zamiast przestępców?

– Oczywiście nadal ścigamy przestępców – rzecznik odpowiedział przytomnie. – Deratyzacja była niezbędna do prowadzenia czynności operacyjnych.

– Jakich czynności?

– Koniecznych przy dochodzeniu, które prowadzimy.

– Rozumiem – nie dawała za wygraną. – Ale radio O’Key dowiedziało się, że znaleziono tam zwłoki. Czy potwierdza pan tę informację?

– Tak.

– Czyli w bunkrze znaleziono ciała.

– Tak.

– Ile?

– Dwa.

– Jak doszło do tego odkrycia?

– Otrzymaliśmy informację od anonimowego informatora.

– Rozumiem. Kim byli zmarli?

– Staramy się to ustalić.

– W jakich okolicznościach doszło do śmierci? Czy zostali zamordowani? Takie są przypuszczenia, prawda?

– Pani redaktor, nie wiem, jakie są przypuszczenia. Policja działa na podstawie faktów, nie przypuszczeń. Prowadzimy śledztwo, aby odkryć przyczynę śmierci tych ludzi.

– Po co sprowadzać wojsko z Tarnowskich Gór do bunkra w Opolu?

– Grupa Ratownictwa Chemicznego jest jednostką, z którą często współpracują różne komendy.

– Nadal nie wiemy, dlaczego żołnierze wchodzili do bunkra. Powie pan dlaczego?

– Mogę powiedzieć, że w bunkrze funkcjonariusze chcieli przeprowadzić czynności dochodzeniowo-śledcze. Obecność szczurów to utrudniała. Stwarzała też

dodatkowe niebezpieczeństwo, zatem żołnierze zajęli się kłopotliwymi gryzoniami, aby umożliwić pracę policjantom.

– Oczywiście, rozumiem. Czy przeprowadzono te czynności?

– Nie, jeszcze trwają.

– Jaki jest ich charakter?

– Analizujemy ślady, badamy poszlaki.

– Mówi się, że ktoś dokonał tam brutalnego morderstwa. Czy może pan to potwierdzić?

– Nie mogę. Ale nie mogę również tego wykluczyć. To jedna z ewentualności, jaką dopuszczamy. Zapewniam, że pracujemy nad rozwikłaniem tej zagadki.

– Dziękuję za rozmowę.

– Ja również.

– Drodzy radiosłuchacze, państwa gościem był nadkomisarz Maciej Milewski. Rozmowę prowadziła Małgorzata Krawiec. Radio O'Key.

W tej samej chwili Emil dostrzegł zbliżającą się lancię. Wylączył radio. Wyszedł z samochodu.

– Cześć! – Lipski przywitał się prawie po przyjacielsku, podając dłoń policjantowi.

– Witam, panie prokuratorze.

– Co tak oficjalnie?

– Spóźnił się pan.

– A tak. Przepraszam. Korki. No to co, idziemy?

– Idziemy.

Ruszyli w kierunku nieciekawego budynku przy szpitalnego Zakładu Medycyny Sądowej. Po wejściu

Lipski przywitał się z patologiem. Emil także. Policjant podszedł do zwłok. Przyglądał się im uważnie.

– Wiadomo coś w jego sprawie? – patolog zagaił prokuratora, przygotowując się do pracy.

– Według mnie to strata czasu, ale wiadomo, prawo – zachnął się Lipski. – Sprawa prosta jak drut: menele, tanie wina, podziemia i trupy.

– A tak, słyszałem. No to zobaczymy.

– Według mnie nie ma co oglądać. Poza tym mam ciekawsze i – prokurator podkreślił z naciskiem – ważniejsze rzeczy do zrobienia, niż oglądać trupa jakiegoś zapijaczanego menela.

Emil tymczasem nadal oglądał zwłoki. Mężczyzna mógł mieć około 50, 60 lat – myślał. Siwa broda przywodziła na myśl Robinsona Crusoe z filmu, na który wybrał się kiedyś z córką.

Trup miał nienaturalne powyginane dłonie, niczym u człowieka z chorobą psychiczną. Były blade i zniszczone. Na palcach miał ślady pobierania odcisków – wykonano już daktyloskopię. To dobrze – pomyślał z satysfakcją. Zatem jego polecenia były wypełnianie. Może będą mogli odkryć tożsamość, jeśli był notowany.

Mężczyzna leżał na plecach z rękoma ułożonymi na stole wzdłuż nienaturalnie wygiętego ciała. Było to spowodowane najprawdopodobniej ułożeniem na wersalce po śmierci i zesztynieniu zwłok – pomyślał. Choć z drugiej strony natychmiast rzuciło się Emilowi w oczy, że ciało było wciąż sztywne.